

historia to nie jest szwedzki stół

Z BARBARĄ ENGELKING
ROZMAWIA
DOROTA WODECKA

Za mało pytałam o sny

Kwestia teodycei, czyli jak pogodzić istnienie zła z istnieniem Boga, jest dla mnie niejasna. Blizsze mi jest pojęcie wiary, która nie zadaje pytań



Są zdarzenia, które do pani wracają?
A do pani?

Ostatnie zdania okładanego kijem mężczyzny, który prosił, by mu darować życie. Jest taki piękny, słoneczny dzień... Nie radzę sobie z emocjami, gdy sobie wyobrażam tę scenę.

Ja też sobie nie radzę. Ale nie ma obowiązku radzenia sobie ze wszystkim.

Te ostatnie zdania i ostatnie pożegnalne listy są zwyczajne, pozbawione patosu – jak to na przykład bywa w opisach agonii umierających pisarzy.

Pouczające są te listy. Ci, którzy je pisali, najczęściej adresują je do kogoś kochanego, w pożegnalnych listach jest dużo miłości i prośba o pamięć.

W wydanej przez Yad Vashem książce „Final letters” znajduje się wybór listów z ich archiwum. Można w nich przeczytać, jak matka przestrzega córkę, żeby nie wychodziła za mąż za tego a tego mężczyznę, bo z nim nie będzie szczęśliwa. Inna kobieta zostawia mężowi spis rzeczy, które dała na przechowanie sąsiadom i znajomym: temu poduszkę, temu świeczniki, tamtemu złotych 18... Jeszcze inna pisze 29 sierpnia 1942 r. do męża, który był w Palestynie: „pamiętaj, że dzień mojej śmierci to będzie 30 sierpnia, obchodź tę rocznicę”.

Przecucia. To dopiero jest temat.

Tak, wielki, dla mnie prawie tak interesujący jak wojenne sny z czasu Zagłady. Sny mnie intrygują, za późno zaczęłam o nie pytać Ocalałych.

Przecież napisała pani o snach.

Ale za mało pytałam, mogłam dowiedzieć się więcej na ich temat. Ludziom rzadko przychodziło do głowy, że to może być ważne. Pamiętam spotkanie w Yad Vashem w 2018 r. ze stuletnim wówczas rabinem Jehoszua Ejbuszycem, który opowiadał o swoich doświadczeniach, m.in. w getcie łódzkim. Zapytałam go, czy miał w czasie wojny jakieś sny, które pamięta. Wówczas okazało się, że oczywiście, sen uratował mu życie. Pewnej nocy we wrześniu 1943 r. przyśnił mu się nieżyjący ojciec i powiedział, by zgłosił się do transportu, który następnego dnia wyjeżdża z getta, że to nie będzie do gazu. Rabin zgłosił się i przeżył wojnę w obozach pracy. Gdybym nie zapytała... A gdybym innych moich rozmówców zapytała o sny? Ile jeszcze historii mogłabym usłyszeć.

Sny wymykają się racjonalności.

A Holocaust był racjonalny? Najbardziej interesują mnie sny, w których pojawiają się bliscy zmarli i przekazują żyjącym istotne informacje. Jednym z najciekawszych jest sen Róży Grodzickiej, która ukrywała się z mężem i córeczką w stodole w okolicach Siemiatycz. Dwoje nastolatków – dzieci jej męża z pierwszego małżeństwa – ukrywało się w pobliskim lesie. W pewnym momencie rozeszła się w okolicy plotka, że dzieci zginęły – ich ojciec nie mógł się z tym pogodzić i postanowił się powiesić. Gdy Róża usnęła, wyciągnął pasek ze spodni i powiesił się na belce w stodole. Wówczas Róża miała sen: przyszła do niej zmarła żona jej męża i powiedziała: „Szłomo się wiesza, powiedz mu, że dzieci żyją i niedługo do was przyjdą”. Róża się obudziła, odcięła i uratowała męża, a po kilku dniach do stodoły przyszły jego dzieci. Wszyscy przeżyli wojnę, a tę historię opisała we wspomnieniach Miriam Kuiperhand, córka Szłomo.

Nie fetyszyzować traumy. Każde doświadczenie „graniczne” nie tylko zmienia człowieka, ale także jest niewypowiadalne, nieprzekazywalne i metafizyczne? Moim zdaniem tak nie jest

Oczywiście, że w pewnym sensie sny są nieracjonalne, ale jednocześnie na tyle prawdziwe, że ludzie, do których zmarli przychodzą i udzielają im rad, postępują zgodnie z nimi i dzięki temu, jak uważają, ratują swoje życie. Z pozoru nieracjonalny sen powoduje racjonalną zmianę w życiu rzeczywistym.

Jak to wyjaśnić?

A po co to wyjaśniać? Różne impulsy powodują naszym zachowaniem. Jednym z nich może być to, że ktoś nam się przyśni i coś nam nakazuje. Dlaczego wszystko ma się przekładać na racjonalność?

Ale interesują mnie nie tylko nieracjonalne doświadczenia, zajmuję się także całkiem racjonalnymi. Pisałam ostatnio tekst o Żydach, którzy przeżyli masowe egzekucje. Przeczytałam dziesiątki relacji, w tym niemal stu osób, które osobiście przetrwały takie doświadczenie.

Jak Jonasz Stern, który powiedział w ostatnim udzielonym wywiadzie: „Przeżyłem, ale i tak się nie uratowałem”?

Ale to jest zdanie wypowiedziane w 1988 roku. Zaraz po wojnie złożył dwie relacje, w których wspomina, jak dwukrotnie uniknął śmierci. Pierwszy raz, gdy wyskoczył z pociągu wiozącego lwowskich Żydów do Bełżca, i drugi, kilka tygodni później, kiedy został z grupą ludzi rozstrzelany i po dziesięciu godzinach, które spędził pod ciałami zmarłych, wyszedł spod nich, zaledwie lekko raniony. Więcej miejsca poświęcił w tej relacji śmierci swojej żony, która zginęła w czasie okupacji. Doświadczenie własnego ocalenia nie wydawało się go wówczas absorbować, ale to się zmieniło z biegiem czasu.

Można uwspólnić ich doświadczenie i dojść do jakichś wniosków?

Mnie to doprowadziło do przekonania, żeby nie fetyszyzować traumy.

Czym jest fetyszyzowanie traumy?

Przekonaniem, że każde doświadczenie „graniczne” nie tylko zmienia człowieka, ale także jest niewypowiadalne, nieprzekazywalne i metafizyczne. Moim zdaniem tak nie jest. Zresztą nie wiemy, co dla każdego może się stać osobistym doświadczeniem granicznym. Przeżycie masowej egzekucji wydaje się typem idealnym doświadczenia granicznego, ale wcale nie musi nim być. Niektórzy wyszli z tego grobu, otrzepali się i wracali do swo-

ich zajęć. A po latach może doszli do wniosku, że „przeżyli, ale się nie uratowali”.

Co to oznacza pani zdaniem?

Że nie ma ucieczki od tego doświadczenia. Ale czy to zdanie dotyczy tylko tego momentu, kiedy Stern leżał w masowym grobie, czy całego doświadczenia Zagłady? Różne rzeczy są najgorsze dla różnych osób. I może najgorsze jest nie to, że mieli kontakt z martwymi ciałami, ale to, że stracili rodzinę?

Wiedza o Zagładzie jest ukształtowana w większości przez relacje złożone bardzo późno, przez filmy i książki powstające w ostatnich dekadach. Brakuje w niej na przykład doświadczeń ludzi bardzo starych. Dla mnie poruszająca była relacja pewnej starszej kobiety dla Shoah Foundation, która w dzieciństwie została sierotą i żyła w ogromnej biedzie. Była manikiurzystką, w czasie II wojny wychodziła z córeczką z getta na aryjską stronę do swoich klientów, co je obie uratowało. Nie było ich w getcie, kiedy rozpoczęła się akcja jego likwidacji. Na koniec relacji zapytano ją o to, jakie zdarzenie było najgorsze w jej życiu. Odpowiedziała, że najgorszym doświadczeniem była dla niej śmierć matki w 1914 roku, bo od tej pory życie było dla niej trudne. Wcale nie Zagłada, jak można by się spodziewać. To pokazuje, że człowiek, który ma perspektywę całego życia, przeżył dwie wojny, nie fetyszyzuje traumy Zagłady. Można było ją przeżyć jako część długiego życia, nie jako najważniejsze, kształtujące doświadczenie.

Pamięta pani na pewno, dlaczego się nią zajęła.

Od liceum interesowała mnie historia i kultura Żydów, ale bezpośrednią inspiracją wyboru tematu badań był opublikowany w 1987 r. w „Tygodniku Powszechnym” esej Jana Błońskiego „Biedni Polacy patrzą na getto”. Był to z wielu powodów ważny tekst, dla mnie bardzo poruszający i otwierający zupełnie nowe perspektywy. Chciałam dowiedzieć się bardziej szczegółowo, co właściwie zdarzyło się w czasie okupacji, dlaczego ten tekst Błońskiego wywołał takie poruszenie. W 1988 roku skończyłam studia psychologiczne na UW i zastanawiałam się nad tematem doktoratu. Zaczęłam wówczas rozmawiać z Ocalonymi, co zresztą zbiegło się z procesami historycznymi umożliwiającymi otwarcie na wiele nieporuszanych (lub zakazanych) wcześniej tematów. Początkowo sporo osób nie chciało ze mną rozmawiać, ale po 1989 roku to się zmieniło, skończyła się era strachu i Ocalali chętniej opowiadali o swoich doświadczeniach. Przestali się bać i wielu nie trzymało już swojej tożsamości w tajemnicy.

Jak pani do nich trafiała, skoro ukrywali swoją tożsamość?

Od jednej osoby dostawałam adres do kolejnej, rekomendowali mnie swoim znajomym. Pierwszym Ocalonym, z którym rozmawiałam, był pan Arnold Mostowicz, który skierował mnie do kogoś, od kogo trafiłam do Władysława Szpilmana, a on z kolei wysłał mnie do Heleny Merenholec. Pani Helena mieszkała na Saskiej Kępie, na ulicy Nobla. Kiedy do niej przyszłam, powiedziała: „Wejdz, czekałam na ciebie”. To było niezwykle powitanie; poczułam się wyróżniona i zaproszona, nie tylko w sensie dosłownym, ale też głębszym.

Usłyszała pani, że to nie o doraźność chwili szło?

Tak. Helena Merenholec czekała, aż przyjdzie do niej ktoś, komu będzie mogła opowiedzieć swoje wojenne losy. Przed wojną pracowała z Korcza-

kiem i z dr Szymańską, w czasie wojny zajmowała się dziećmi ulicy w getcie warszawskim, a kiedy wyszła z getta, pomagała Żydom ukrywającym się po aryjskiej stronie.

W latach 70. w jej mieszkaniu odbywały się zebrania KOR-u. Zawsze była po właściwej stronie i zawsze, w każdej sytuacji wiedziała, jak należy postąpić. Była niezwykle prawym człowiekiem, dla mnie stała się wzorem. Uczciwa, szlachetna, bezkompromisowa. Kochałam ją. Zmarła w 1997 roku i bardzo żałuję, że miałam szansę przyjaźnić się z nią zaledwie pięć lat. Byłam wówczas jeszcze taka młoda, nie rozumiałam tylu rzeczy, tylu pytań jej nie zadałam...

Odbierając dwa lata temu Medal św. Jerzego, powiedziała pani, że nie może odżalować, że na początku swojej pracy zadawała naiwne pytania. O co, nie licząc snów, pani wtedy nie zapytała?

Pani Merenholtz nie zapytałam na przykład o to, jak dokładnie wyglądało roznoszenie pieniędzy ukrywającym się po aryjskiej stronie Żydom. Jak wyglądała siatka kontaktów i łączników. Wiem, że miała spisana na kartce listę osób, do których chodziła. Kiedy do domu, w którym mieszkała, przyszło gestapo w poszukiwaniu działającego w podziemiu syna właścicielki, pani Helena – wówczas nazywała się Stanisława Królikowska – schowała tę listę w majtkach i chociaż to nie po nią przyszli, postanowiła, że już nigdy nie będzie zapisywać kontaktów na żadnej kartce, tylko wszystkich nazwisk i adresów będzie się uczyć na pamięć. I przepadły te jej kartki – ale mogłam ją o nie zapytać. Nie zadałam jej mnóstwa szczegółowych pytań dotyczących codzienności w ukryciu. Za mało pytałam o uczucia, innych ludzi, przyjaźnie i miłości.

Robi sobie pani wyrzuty, że na postawienie tych pytań jest za późno?

Miałam wtedy 30 lat, nie wiedziałam tego, co wiem dziś. Być może, gdybym wtedy nie zadała tamtych pytań, które wydają mi się teraz proste i zwyczajne, to nigdy bym nie doszła do tematów, które teraz mnie interesują.

Na przykład interesuje mnie nuda. Jak to jest nudzić się, siedząc w ukryciu? Jak to jest, kiedy człowiek się nudzi i jednocześnie strasznie boi? Jak te dwa uczucia wchodzą ze sobą w relację? Co się dzieje z umysłem, kiedy człowiek jest zawieszony w próżni czasowej, nie może się ruszyć...

...bo ukrywa się pod wanną na przykład.

...albo leży pod kapą na łóżku, kiedy krawcowa, która przechowuje tę kobietę, przyjmuje przez cały dzień klientki.

Może nie ma nudy? Może jest tylko strach? „Paniczny złośliwy strach ogarnia nas całych, jak płomień przedmiot obłany benzyną, rozciąga i gra naszymi nerwami, męczy nas i wycieńcza” – wspominała Irena Monis.

To wspomnienie z okresu akcji wysiedleńczej, zupełnie inny stan emocjonalny niż ukrywanie się. Oczywiście momenty zagrożenia i panicznego lęku w czasie ukrywania się także były, ale kiedy napięcie zniknęło, musiały pojawiać się inne trudne do zniesienia uczucia, jak monotonia, nuda, bezruch, konieczność „trwania bez istnienia”. Chciałabym umieć to zrozumieć i opisać. Nie są to zresztą jakieś tajemnicze czy bardzo głębokie kwestie, tylko zwykłe, życiowe sprawy. Brakowało mi wówczas doświadczenia i wyobraźni, żeby o nie pytać.

Seks w zamian za ukrywanie należy do holocaustowych tabu.

Seks i zakochanie się – to musiało się zdarzać, ale niewiele jest relacji na ten temat. Czasem można trafić na wzmianki dotyczące osób trzecich, jak w relacji Broni Walberg Spielvogel, która wspomina, że pewien starszy szewc przechowywał 16-letnią Żydówkę, ukrytą w ciągu dnia na przypiecku. „W nocy wstawiała, sprzątała i gotowała dla niego. Ten szewc żył z nią i po wyzwoleniu też nie dał jej odejść od siebie”, ale w końcu udało jej się wyjechać. Nie, nie pytałam wówczas o takie sprawy i teraz też bym raczej nie pytała. Chyba że w rozmowie pojawiłby się taki kontekst lub wyraźne zaproszenie do poruszenia tego tematu.

„Myślenie o historii (a zapewne także uprawianie historii) musi się opierać na doświadczeniu etycznym. Fakty są bowiem złymi świadkami dla ludzi, którzy patrzą na nie z punktu widzenia własnego interesu, choćby to był interes uczuciowy czy intelektualny” – pisał Błoński w eseju „Myśleć przeciw własnemu komfortowi”. Mierzyła się pani z tą myślą?

Mam nadzieję, że udaje mi się tę etyczną postawę zachować. Nie naciskam. Nie wchodzę z butami. Daję moim rozmówcom prawo do milczenia. Nikomu – mam nadzieję – nie zrobiłam krzywdy, nie nadużyłam niczyjego zaufania. Nie uważam zresztą, że Ocalali mają obowiązek opowiadać. Istnieje pewnego rodzaju oczekiwanie społeczne, czy może nawet przekonanie, że powinni podzielić się swoją historią, bo publiczność czeka. Uważam, że każdy ma prawo zachować swoje doświadczenia dla siebie, nie opowiadać publicznie, czy też w ogóle nic nie mówić. Choć oczywiście sama nie jestem wolna od przekonania, że być może ci, którzy milczą, mają coś nadzwyczaj interesującego do przekazania.

Tylko co by to mogło być? Tyle już wiemy na temat zła i dobra.

Intryguje mnie na przykład, co miałby do powiedzenia prof. Geremek. Nigdy nie opowiadał o swoich doświadczeniach wojennych, nie złożył żadnej relacji. Moja ciekawość wynika w tym przypadku ze świadomości jego formatu intelektualnego – wyobrażam sobie, że analizując własne doświadczenia, mógłby mieć wyjątkowo interesujące i ważne refleksje, że miałby do powiedzenia coś odkrywczego.

Sądziła pani, że rozmowy z Ocalonymi i ich refleksje na temat doświadczenia Zagłady zbliżą panią do rozwikłania jakiejś tajemnicy bytu? Do zrozumienia „lepiej, a może więcej”?

Na początku w dość szybkim tempie przybywało mi wiedzy o Zagładzie i po pierwszych kilku latach pracy miałam poczucie, że już dużo wiem. Ale przyrost wiedzy nie zawsze idzie w parze z przyrostem zrozumienia – a do tego dochodziłam w kolejnych latach. Myślę, że w jakimś momencie miałam w sobie pewną arogancję, poczucie, że dowiedziałam się czegoś istotnego i stałam się depozytariuszką jakiejś wiedzy. Dziś odczuwam w zasadzie już tylko bezradność wobec Zagłady. Jestem zadowolona, że wykorzystałam na tyle, na ile potrafiłam, szansę i rozmawiałam z wieloma ludźmi, którzy mi zaufali. Jestem wdzięczna, że chcieli mi opowiedzieć o swoim życiu, że dzielili ze mną najróżniejsze, nieraz dosyć intymne, wspomnienia.

Co właściwie oznacza pani bezradność wobec Zagłady?

Z biegiem lat stałam się ostrożniejsza, bo po pierwsze, widzę, ilu rzeczy nie wiem, ilu zaś nigdy się już nie dowiem. Po drugie, ta wiedza jest ulotna i chwilowa, ale taka właśnie ma być. Wiedza o Zagładzie jest pozbawiona pewności.

Wiemy, co się zdarzyło, ale nie wiemy dlaczego?

Mam sporą wiedzę o wielu różnorodnych faktach – na przykład na temat, którym teraz się zajmuję, czyli ukrywających się po stronie aryjskiej: niektórzy przeżyli tak, a inni inaczej. Nie było reguł, może poza taką, że ukrywający się w Warszawie Żyd prędzej czy później spotka szmalcownika. Na podstawie setek, a pewno bliżej tysiąca przeczytanych i wysłuchanych relacji mogłabym powiedzieć, że na palcach jednej ręki można policzyć tych, którzy nie spotkali ani jednego szantażysty. Ta proporcja coś mówi o postawach ludzkich, prawda? Ale nie znajduję jakichś trwałych i ogólnych prawidłowości. Z badań nad Zagładą wynika dosyć banalna w sumie wiedza, że ludzie bywają czasem dobrzy, a czasem źli, że w życiu zdarzają się różne spotkania – i ze złymi, i z dobrymi, a generalnie w życiu każdego czeka wiele cierpienia.

Mówi pani, że to są banały, tak jakby chciała pani te prawdy intelektualnie przekreślić.

Ależ to są banały. Do takich samych wniosków możemy dojść bez zajmowania się Zagładą. Zagłada nie jest dowodem na nic, bo wiemy to wszystko na podstawie doświadczeń naszego życia. W tym sensie Zagłada do niczego nam się nie przydała.

I cierpienie milionów ludzi okazało się bezużyteczne?

W dziennikach pisanych w czasie wojny często pojawia się pragnienie autorów, aby przynajmniej ich cierpienie nie poszło na marne. Żeby ci, którzy będą je czytać, wyciągnęli jakieś wnioski na przyszłość. Czy ludzie się czegokolwiek nauczyli, czytając o cudzym cierpieniu? Stali się lepsi? Nie przypuszczam.

Nie jest pani trudno zaakceptować, że ten „straszny ból, absurdalny i bezcelowy” nie ma żadnego znaczenia?

Nie ma sensu, ale ma znaczenie. Zagłada jako wydarzenie historyczne ma ogromne znaczenie, natomiast nie ma żadnego sensu. Mogę się pocieszać, że czasem cierpienie w wymiarze indywidualnym sta-



A BARBARA SKARGA NA TO:
*Nienawiść jest łatwa,
miłość, przyjaźń wymagają
niemałego wysiłku*

je się źródłem mądrości, a może nawet czymś więcej. To jednak zawsze pozostaje tajemnicą konkretnego człowieka.

Zajmując się Zagładą, nie sposób nie pytać o Boga.

Nie czuję się na siłach, by wyjaśnić nieistnienie Boga w czasie Zagłady. Kwestia teodycei, czyli jak pogodzić istnienie zła z istnieniem Boga, jest dla mnie niejasna. Bliższe mi jest pojęcie wiary, która nie zadaje pytań.

Szukała pani wyjaśnienia u filozofów?

Nie tylko u nich. Dużo mi dały dzienniki i listy holenderskiej Żydówki Etty Hillesum. Dobrowolnie pojechała do obozu w Westerborku, aby pomagać swoim współrodakom. Została zamordowana w Auschwitz. Wierzyła w Boga, była chrześcijanką i jej dziennik jest wyznaniem wiary w czasie Zagłady. Pisała na przykład: „Panie, sądząc po wypadkach, wydaje mi się, że niewiele już możesz zrobić. (...) Nie pociągam Cię za to do odpowiedzialności. (...) Niemal z każdym uderzeniem serca uświadamiam sobie coraz bardziej, że nie potrafisz nam pomóc, za to my musimy wesprzeć Ciebie, a tego domu w nas, w którym mieszkasz, powinniśmy bronić aż do końca”. Ona też pisała o „warstwie popiołu na sercu” – ta metafora jest mi bardzo bliska.

Levinas, który jest bliskim pani filozofem, pisał, że przekroczenie śmierci dokonuje się w dobroci bycia dla innego.

Takie myślenie też jest mi bliskie – drugi człowiek jest zawsze wyzwaniem i granicą własnego egoizmu. Istnienie drugiego człowieka uruchamia w nas – zależnie od sytuacji – odpowiedzialność i wynikającą z niej troskę.

Czym ona jest w wymiarze praktycznym?

Troska oznacza z jednej strony opiekę i dbałość, a z drugiej – niepokój i uwagę. Myślę, że to trochę co innego niż pamięć, która jest historyczna, zamknięta, skoncentrowana na przeszłości. Troska jest żywa i aktualna. Należy do teraźniejszości.

Jak żywi mogą się troszczyć o umarłych?

Z podziwem patrzę na wielu ludzi w Polsce, którzy właśnie troszczą się o Żydów i żywą pamięć o nich na poziomie lokalnym. Oni mają często ogromny, pozytywny wpływ na wspólnotę. I jeżeli cokolwiek jest drogą do zmiany społecznej w kontekście przeszłości i stosunków polsko-żydowskich, to przede wszystkim lokalne działania tych właśnie ludzi. Są o wiele ważniejsze niż nasze naukowe rozprawy, które nie są tak bardzo znane.

To dzięki takim ludziom wspólnoty dbają albo zaczynają dbać o cmentarze żydowskie, powstają lokalne upamiętnienia Żydów, wymienionych z imienia i nazwiska; tam na miejscu wciąż żyją ludzie, którzy pamiętają swoich sąsiadów. Dzięki ich pamięci ci zamordowani Żydzi przestają być obcy. To konkretne osoby, które wtedy chodziły, tu miały swój sklep czy warsztat. Zmarli przestają być abstrakcyjni. W polskiej pamięci Żyd to figura, od której musimy się uwolnić. Ale w Polsce nie mieszkali i nie zginęli jacyś abstrakcyjni, teoretyczni Żydzi, tylko żywi ludzie, którzy mieli swoje imiona, nazwiska, uczucia, emocje, plany, nadzieje, swoją przeszłość i przyszłość. I o nich właśnie musimy się troszczyć.

Abstrakcja wyklucza empatię?

Utrudnia.

Co jeszcze można zrobić, by ich los i cierpienie nie były tylko faktem historycznym? Nudnym w dodatku, bo „ile jeszcze można o Holocaustie”?

Badania nad Zagładą rozrastają się w kierunku bardzo teoretycznych badań nad pamięcią, zanurzonych w meandrach nowoczesnej humanistyki. To są ciekawe, nowatorskie nurty, ale ja się w tym nie odnajduję. Moim zdaniem sama Zagłada jest ciągle olbrzymim polem do badania. Niektóre tematy są jeszcze nieruszone. Są wciąż nieprzebadane archiwalia, są sądy niemieckie i dużo archiwów lokalnych. Jest co robić. Tymczasem mamy coraz więcej nowoczesnej humanistyki, pamięci i postpamięci, teoretyzowania i tworzenia nieraz wymyślnych koncepcji. Ale może mam po prostu konserwatywne podejście, w którym początkiem jest badanie źródeł. Ukształtowało mnie też doświadczenie kontaktu i rozmowy z Ocalałymi, opieranie się na ich doświadczeniu.

Czesław Miłosz w wierszu „Podróż”, którego fragment posłużył za tytuł państwa – Centrum Badań nad Zagładą Żydów, pod pani i Jana Grabowskiego redakcją – książki „Dalej jest noc”, pisał: „Pracuj – bo nazbyt wiele już było milczenia. Zbyt wiele zim lodami na groby nam legło, Zbyt wiele dębów nowych zielenią okrzepło, A nam odjęło usta...”. Czy pani badania są wynikiem troski i odpowiedzialności?

Sądzi pani, że mam misję?

Tak przeczuwam.

Nie odbieram tak moich działań, nie stawiam sobie takich celów. Może zabrzmiałoby to dziwnie, ale jednym z motywów mojej pracy jest potrzeba zaspokojenia własnej ciekawości.

Takim kosztem?

Nie bardzo mam ochotę rozmawiać o kosztach. Powiem tylko, że nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo Zagłada wpłynie na życie moje i mojej rodziny. Byłam naiwna, gdy wydawało mi się, że chronię swoje dzieci i nie zarażam ich smutkiem historii, których wysłuchuję. Sądziłam, że nie wiedzą, czym się dokładnie zajmuję. Kiedy były już w liceum, opowiedziały mi, jak w dzieciństwie bawiły się z kolegami w przywiązywanie do drzewa i wypisywanie sobie na ramieniu numerów obozowych.

O smutku nie porozmawiamy?

Nie jestem smutna. Mam okresy depresji – co jest nieuniknione, bo Zagłada odkłada się w głowie i sercu – i kiedy praca przestaje sprawiać mi przyjemność, jest to sygnał ostrzegawczy, by zrobić sobie przerwę.

Muszę zapytać o ten płacz na wykładzie.

To była bardzo krępująca dla mnie sytuacja – czytałam studentom fragment pewnej relacji i rozplakałam się. To tekst, przy którym zawsze płaczę.

Pokaże mi go pani?

Nie. Jest tam opisane doświadczenie upokorzenia, co mnie mocno porusza. Upokorzenie, poniżenie – to są widocznie uczucia wyjątkowo dla mnie trudne.

Ten płacz był z beziły czy współczucia?

Ten płacz był w porządku. Płacz w ogóle jest w porządku, często jest w nim gniew, bezradność i współ-

historia to nie jest szwedzki stół

czucie. Płacz to wyraz uczuć, a w każdym autentycznym zachowaniu można odnaleźć wartość.

To dlaczego wstydzić się uczuć przed studentami?

Jednak rola nauczyciela akademickiego nakłada pewne ograniczenia. Ale powiedziałam wtedy studentom, że nauczyciel też jest człowiekiem, a płacz jest jedną z możliwych reakcji na Zagładę.

Czy to może być płacz oczyszczający?

Nie, on nie redukuje ani poczucia winy, ani wstydu. Nic nie zmienia. Jest wyrazem emocji w danej chwili.

Ma pani poczucie winy?

Tak, czuję się winna temu, że większość Polaków okropnie zachowała się wobec Żydów w czasie wojny.

Trudno się winić za czyny ludzi, których nie znamy.

Jestem Polką i dlatego czuję się winna z powodu tego, jak moi rodacy zachowywali się w czasie wojny. Na tym polega poczucie przynależności narodowej.

Znów pobrzmiewa w pani słowach Jan Błoński. Pamięta pani: „kraj ojczysty nie jest hotelem, w którym dość sprzątnąć brudy po przypadkowych gościach. Zbudowany jest przede wszystkim z pamięci: inaczej mówiąc, jesteśmy sobą tylko dzięki pamięci o przeszłości”.

Profesor Feliks Tych mówił, że historia Polski nie jest szwedzkim stołem, z którego możemy sobie wybrać to, co nam pasuje. Musimy brać wszystko. W pakiecie jest zarówno szmalcownik, jak i Sprawiedliwy. Nie da się hołubić tylko pamięci Sprawiedliwych i pamiętać wyłącznie dobro, bo to jest fałsz historyczny.

Udaje się pani, rozważając przeszłość, nie wyciągać moralnych zysków?

Nie mam pokusy, by moralizować, wydaje mi się, że mam raczej dość realistyczne wyobrażenie na temat swoich możliwości, ale też ograniczeń. Może to jest zysk z zajmowania się Holocaustem, że nauczyłam się nie oceniać strachu. Ludzie mieli prawo się bać. I jeśli ktoś się bał i nie pomagał – to to jest w porządku. Oczywiście surowo oceniam podłość i wszystkie zachowania, które szkodziły Żydom.

Wstyd jest inną kategorią niż wina.

I ja się wstydzę. Za obojętność. I za to, że na ulicach Warszawy w czasie powstania w getcie było słychać „Żydki się smażą”. Wstydzę się za ten odruchowy, bezmyślny antysemityzm, za głupotę, za wszystkie zachowania, słowa i gesty, które przysporzyły Żydom cierpienia w czasie wojny. Nie było obowiązkiem pomagać, ale mogliśmy im nie przysparzać dodatkowego cierpienia.

Nazwała pani ich doświadczenie „pustynią ludzką”, która jest bezskutecznym poszukiwaniem współczucia nadziei i wiary w drugiego człowieka.

To doznanie najgłębszego cierpienia i egzystencjalnej samotności, towarzyszące często włóczędztwu i bezdomności. Wydało mi się, że doświadczenie samotności, opuszczenia, również przez Boga, jakiegoś miotania się w pułapce, kiedy każde rozwiązanie jest niedobre i zewsząd czyha zło, jest głęboko ludzkim doświadczeniem. Wielu z nas zna ta-

kie doświadczenie pustyni, chociaż oczywiście okoliczności są inne.

Myśli pani o ich rozczarowaniu nami?

W wielu relacjach można znaleźć gorzkie słowa rozczarowania pod adresem Polaków. „Gdyby nie Polacy, moglibyśmy spokojnie przeżyć ten krytyczny czas, bo Niemcy nie pokazywali się po wsiach” – pisał Abraham Sniadowicz z Ostrołęki, a Naftali Spanglet wspominał, że w Tarnowie „wielu ludzi myślało o ucieczce, ale były wiadomości, że nie ma gdzie iść, bo Polacy wydają”. Myślę, że Żydzi spodziewali się większej solidarności ze strony Polaków w obliczu wspólnego wroga, jakim byli Niemcy. W wielu relacjach mówią, że bardziej bali się Polaków niż Niemców. Niestety, w okupowanej Polsce panowała tradycyjnie antysemicka atmosfera, z jednej strony podsycana przez Niemców, z drugiej – przez chciwość, okazję do zarobku, strach. Mówię o ogólnej atmosferze, a nie można zapominać o donosach, szantażach, szmalcownikach i mordach. Na tym tle ludzie uczynni i gotowi do pomocy stanowili do prawdy rzadkie i bezcenne wyjątki.

W „Dalej jest noc” podają państwo, że dwóm z trzech próbujących ucieczki Żydom nie udało się przeżyć. Czy te statystyki mają znaczenie? A jeśliby „tylko” jeden na trzech nie przeżył, moglibyśmy czuć się lepiej?

Statystyki pokazują tendencje, a ponadto ludzie chcą znać proporcje i skalę. Może te liczby pozwalają im zważyć dobro i zło, może chcą się ludzić, że więcej ludzi ratowało Żydów, niż ich wydawało? Publiczność domaga się liczb, chce wiedzieć, jacy byliśmy.

Bo z tego ma wynikać, jacy jesteśmy?

Niekoniecznie, chociaż w Polsce jesteśmy wciąż odwróceniem twarzy do przeszłości. Nasza narodowa tożsamość jest bardzo mocno zanurzona w przeszłości, niemal w niej zakłęta.

Sądzi pani, że ta blokada wynika z nieprzepracowania tematu polsko-żydowskiego, o którym pisał Błoński? Że chcemy znaleźć się poza oskarżeniem, że „patrzyliśmy spokojnie na żydowską śmierć”? I dlatego wolimy o tym nie mówić?

Nie jestem pewna, nie czuję się narodowym terapeutą. Przemawia do mnie to, co piszą na ten temat psychoanalitycy Jan Borowicz i Andrzej Leder. W uproszczeniu: że stosunek polskich świadków do Zagłady charakteryzuje się mechanizmem zaprzeczenia, a nie – jak dotychczas myśleliśmy – wyparcia. Wyparcie jest mechanizmem obronnym, który polega na tym, że zapomina się o czymś, np. trudnym czy niewygodnym, ale można to sobie przypomnieć. Zaprzeczanie natomiast unieważnia charakter tego, co się wydarzyło, dosłownie zaprzecza faktom z przeszłości. Terapeuci mówią, że praca z zaprzeczeniem jest dużo trudniejsza niż z wyparciem. Trzeba więc najpierw w ogóle uznać Zagładę.

Czyli trzeba opowiadać Zło?

Tak, ono jest potrzebne dla zdrowia historycznego Polaków. Jest nam potrzebna równowaga, zdrowy rozsądek, brak pychy i uwolnienie się od mitów. Dobrze jest znać prawdę – lepiej, niż żyć w kłamstwie i fałszu i udawać to straszliwe zadęcie. Ileż energii pochłania bycie największą ofiarą wszech czasów, zawsze skrzywdzonym narodem. To zamykające, nietwórcze, jałowe i kontrproduktywne uczucie. Zamiast się zająć nowoczesnością, potrzebami

i wyzwaniem współczesnego świata, będziemy się teraz z Niemcami wyklócać o reparacje.

Swoją drogą one należałyby się polskim Żydom.

Co za hipokryzja! Teraz policzyliśmy Żydów jako naszych obywateli, Polaków, za których weźmiemy te pieniądze – to jest po prostu obrzydliwe.

Staram się do naszej rozmowy nie wciągać bieżącej polityki...

Ale to pani chciała rozmawiać o wnioskach płynących z Zagłady. Jednym z warunków jej skuteczności było odwrócenie znaków moralnych. Niemcom udało się odwrócić moralność – to, co zwykle uważamy za dobre, czyli pomoc, było w czasie okupacji złem i było karane. A to, co zwykle uważamy za złe, czyli wydanie kogoś na śmierć, było nagradzane. Dostawało się kilo cukru, butelkę wódki i ubrania po zabitym, więc to odwrócenie znaków moralnych tworzyło sytuację bezkarności i pokusy. Nie dostrzega pani, że dziś jest w pewnym sensie podobnie? Że znaki moralne są zachwiane? Mamy rząd, który pozwolił ludziom na bycie złymi. Możesz być miernotą, prostakiem, możesz być podły, możesz kraść, kłamać, wykluczać innych ludzi, nazywać ich ideologią i skazywać na śmierć z premarznięcia. To jest aprobowane, a służalstwo i lizusostwo się nagradza. Na szczęście jest jeszcze młode pokolenie i są ludzie, którzy ratują nasz honor, jak ci z Grupy Granica.

Zastanawiam się, jakie miejsce w pani życiu zajmuje nadzieja, bo skoro dochodzi się do konkluzji, że zło jest silniejsze niż dobro, to nie bardzo ją dostrzegam.

Przecież można bez niej żyć. Można żyć w przekonaniu, że życie jest bez sensu i zło silniejsze od dobra.

Kwestia nadziei jest zresztą płynna – są sytuacje, momenty, kiedy człowiek ma nadzieję, że istnieje jakiś sens, albo nawet chwilowo go znajduje. A są potem okresy, kiedy tę nadzieję traci i nie potrafi odnaleźć sensu. Nie ma nic stałego raz na zawsze, jak wiadomo – „wszystko płynie”, życie to ciągła niepewność. Teraz mogę nie mieć nadziei, ale może za rok albo nawet jutro usłyszę historię, która da mi nadzieję, np. na to, że pojawi się jakieś dobro.

Ale jak ufać ludziom, skoro właściwie trzeba by było im nie ufać?

Jak to jak? Jest przecież przyjaźń. Miłość też jest. Dla wielu wiara w Boga. No i braterstwo, o którym Jan Strzelecki pisał, że ono „oznacza utożsamienie się z kimś drugim, nieoddzielanie jego losu od swojego; więcej nawet – widzenie jego niebezpieczeństwa wyraźniej niż swego, doznanie, że jego śmierć jest trudniejsza do przeżycia niż własna”. Braterstwo jest przyjaźnią w działaniu. I daję mnóstwo nadziei. ●

Prof. dr hab. Barbara Engelking – kierowniczka Centrum Badań nad Zagładą Żydów IFiS PAN, zajmuje się badaniem doświadczenia Holocaustu w relacjach ocalałych oraz w świetle wszelkich dostępnych źródeł i perspektyw (ofiar, świadków i katów). Autorka i redaktorka wielu fundamentalnych prac dotyczących Zagłady. Należy do nich m.in. „Jest taki piękny słoneczny dzień... Losy Żydów szukających ratunku na wsi polskiej 1942-1945” i „Dalej jest noc. Losy Żydów w wybranych powiatach okupowanej Polski” (z Janem Grabowskim). Laureatka Nagrody im. Jerzego Giedroycia, Nagrody im. Jana Karłowicza i Poli Nireńskiej. W 2021 r. znalazła się na 12. miejscu listy najbardziej wpływowych historyków świata przygotowanej przez Academic Influence.